

NIEPODLEGŁOŚĆ

JEDNODNIÓWKA ROCZNICOWA.

Pod Redakcją Aleksandra Zawadzkiego.

Biblioteka im. Hieronima
Lopacińskiego w Lublinie

1883 c

5-ty Sierpnia!

W zmiennej kolei losów Narodu ta data łączy w sobie dwie wiekopomne rocznice. Jedna — żałoby i smutku, a druga to rocznica wesela i radości. Przed 52-ą laty w tym dniu zakończyła się ostatnia krwawa walka z Moskwą męczeńskim aktem stracenia Rządu Narodowego na stokach cytadeli. Przed rokiem zaś w tym samym dniu odetchnęła pełną piersią Warszawa, wyzwolona ze szponów moskiewskich.

Te dwie rocznice, zbiegające się w jednym dniu, to dwa punkty zwrotne na ciernistej drodze poroborowych dziejów Narodu.

Od czasu szabienicy, na której zawisły ciała Trauguta, Krajewskiego, Żalińskiego, Toczyskiego i Jeziorańskiego, Naród zapada jakby w otchłań półwiekowej czarnej nocy najhaniebniejszego ucisku i zniewolenia. Zaś słoneczny poranek sierpniowy z przed roku to ślup granitowy, wskazujący prostą drogę ku Wolności, ku Niepodległości!...

W tym rocznicowym dniu, zylbiając łpnie kłmna przed cioniami Władich, Ojczyzny, i na odkupienie win i słabości naszych niesiemy Im w dani ofiarną krew bohaterskich Legionów Polskich, jako plon ich krwawego siewu.

Co nas wszystkich łączy?

Pamięci Wielkich Ojców należy się spowiedź szczerą, serdeczną, synowską. Ze skruchą, z kajaniem się my — mali i słabi — stajemy przed ołtarzem, na którym całopalenie z siebie składali Oni — Wielcy i Potężni duchem. Stajemy z wyznaniem prawdy.

Dla wyświecenia tej prawdy i w jej obronie stawiam pytanie: co nas wszystkich łączy? — I odpowiadam jasno, wyraźnie: wszystkich nas Polaków łączy wstręt, nienawiść do Moskwy i obawa przed jej powrotem. Tę niewątpliwą prawdę stawiam przed oczy wam, najbliżsi przyjaciele moi, którzy w rozgoryczeniu nieraz gotowicie lekkomyślnie pomawiać społeczeństwo o zbrodnię moskalofilstwa.

A mówię wam to ja, który 40 lat życia spędziłem w udrepc borykania się z Moskwą w podziemiach polskich i przez to wieloletnie zmaganie się z nią wyrobiłem w sobie nadwrażliwość, nadszłość na wszelki kompromis między ujarzmioną Polską a najazdem moskiewskim.

Przez całe życie zawzięcie tępiłem w duszach polskich wszelką zgodę z losem niewoli moskiewskiej, dlatego tem większą odwagę i tem większe prawo mam dziś twierdzić, że niema w nas i nie może być jakiegoś uczuciowego przywiązania do Moskwy. Stulecie krwawych buntów i walk, rzeź Oszmiańny i Pragi, męczeństwo Unii, zagłada niesiona przez Moskwę imieniowi polskiemu — czyż mogło stać się źródłem przywiązania do niej?

Nie i stokroć nie! A może to przywiązanie podsyczone zostało przez zamknięcie ukochanej Macierzy Szkolnej, przez oderwanie Chelmszczyzny, przez zagrabienie kolei Wiedeńskiej, przez dyskusję dumską nad samorządem miast, — że wymienię tu tylko ważniejsze etapy tej drogi, na której cała Rosja ustami swych Markowych kładła nam w uszy: zwycięzcy mają swoje prawo! Zwyciężona na bolach Mandżurji Rosja była zwycięską w stosunku do bezbronno „Prywishińia” i na niem wywierała całą swą wściekłość za tak srodze upokorzoną dumą państwową. I tem wyzwierzaniem się, tym bestjalizmem swoim czyż mogła ona wzbudzić przywiązanie do siebie! Przecież to istny absurd, który wypowiadać mogą tylko rozgoryczone usta, ale który nie znajdzie umotywowania w istotnym stanie wzajemnych uczuć między katem a jego ofiarą. Ten istotny stan uczuć polskich dostatecznie wyraźnie zademonstrował się podczas wojny rosyjsko-japońskiej i przed dwoma laty, w chwili wybuchu wojny obecnej.

Powszechna, nietajona radość Polaków na każdą wieść o pogromie Rosji w Mandżurji namacalnie jej wykazała, jakie uczucia żywi polski niewolnik do swego ciemiężcy. Z tych uczuć rodził się powszechny bunt przeciw nienawistnym rządóm Rosji w Polsce.

Tak. To był prawdziwy bunt wszystkich Polaków przeciw Rosji i przeciw tym, którzy ogólnorosyjskimi rewolucyjnymi hasłami usiłovali zadzierzgnąć węzły solidarności między buntem polskim, a rewolucją rosyjską. Nasz bunt szedł odrębną, czysto narodową drogą. Rozpoczęła go Unja Święta na Podlasiu i Chelmszczyźnie. Już w kwietniu 1904 roku 62 delegatów z Unji przekradło się przez granicę i udało się do Papieża z adresem, zaopatrzonym w 58.000 podpisów.

Był to bolesny cios, wymierzony Rosji ręką męczenników współczesnych, którzy, udając się pod opiekę Papieża, wielkim głosem błagali cały świat cywilizowany o obronę przeciw barbarzyństwu Moskwy. W ślad za tem poszła powszechna akcja gminna, w której chłop polski własnymi rękami wyrzucał język rosyjski z gminy, sądu i szkoły. Na wzburzoną polską wieś spadały dragonady, kary 3.000 rubli. Wszystkie więzienia zapełniają się szarym chłopskim ludem, a ten chłop rozjada się w walce i z zawziętością łączy chłopską w uporze trwa. Nie spodziewał się ten chłop wówczas, że za lat 10 ośmieli się go ktoś pomawiać o moskalofistwo.

Za tym ruchem od dołu idzie ruch u góry, jako powszechny bojkot szkoły rosyjskiej.

I ten bezprzykładowy bojkot trwa 10 lat, łamie wszystkie siły wewnętrzne i zewnętrzne, kosztuje olbrzymią sumę złamanego życia ludzkiego, a jednak niezłomnie wciąż trwa, chwilami beznadziejnie, podsycany z roku na rok jedynym żywem uczuciem, — uczuciem wstrętu do rosyjskości.

Zapytuję wszystkich oskarżycieli, której warstwy lub grupy społecznej brakowało w tym powszechnym wybuchu polskiej nienawiści do Moskwy? Nawet arystokracja, ta anemiczna nasza arystokracja uczestniczyła w nim, jeśli nie osobami swymi, to kieszeniami.

Na chłopską akcję gminną znaczniejsze sumy złożyli: Zamoyski, Lubomirski, Branicki, Krasieński, nawet Kronenberg, jeśli i jego do arystokracji zaliczyć.

A ileż macie dowodów bezprzykładnej ofiarności w nizinach społecznych. Któż mógł zapomnieć o listopadowym wiecu nauczycieli ludowych?

Zdawało się, że to warstwa najbardziej przez Moskwę zdławiona i znieważona, jako przeznaczona do ogłupiania i utrzymania w pokorze względem zaborcy. Wszak to synowie chłopscy, chowani podówczas w katowniach, zwanych seminarjami rządowymi, przesycani potworną nienawiścią do wszystkiego, co polskie, a potem szpiegowani, gnębieni, a przede wszystkim demoralizowani nagrodami i awansami za rusyfikację dusz ludu.

A jednak ci ludzie jednomyślnie uchwalili bunt przeciw wyrzuceniu języka rosyjskiego ze szkoły i zerwanie stosunków z władzami. Uchwała ta, podpisana przez 316 z liczby podpisanych, a usunięcie wszystkich pozostałych z posad. Mimo to nauczycielstwo nie dało się Moskwie sterować, nie uległo i, wypowiedziawszy bunt władzom, zmusiło je do ustępstw.

Przypomnijmy również ów słynny nielegalny zjazd duchowieństwa z 17 Listopada 1905 roku, na którym kapłani w liczbie przeszło 500 delegatów ze wszystkich diecezji pod przewodnictwem ks. Fulmana powzięli wspaniałe uchwały o zsolidaryzowaniu duchowieństwa z całością wyzwolęńczych wysiłków Narodu.

A czyż wybory do pierwszej dumy nie były jaskrawą demonstracją nieprzejednanego stanowiska Polski względem Rosji, gdy z kolegów wyborczych, w których znaczną przewagę mieli chłopcy, wyszli przedstawiciele wyłącznie jednego tylko kierunku, właśnie tego, który wówczas był najjaskrawiej antirosyjskim i za swą antirosyjskość był najsrożej prześladowany przez rząd.

To są wszystko niezbite fakty, którym wszakże oskarżyciele mogą przeciwstawić późniejszą gospodarkę Dmowszczyzny.

Dobrze znam haniebną tę niszczycielską gospodarkę i dlatego stwierdzić muszę, że przeciwstawiły się jej nie tylko najbliższe koła organizacyjne, lecz i cały ogół społeczeństwa. Wszak Dmowski na karkołomnej neosłowiańskiej imprezie załamał się tak gruntownie, że pod naciskiem powszechnego oburzenia musiał złożyć mandat dumski w Lutym 1909 roku, a w trzy i pół roku potem przepadł sromotnie jako kandydat przy ponownych wyborach.

Rosja sama nieustannie kopała przepaść między Polską a sobą, ku uciesze irredenty polskiej, która we współzyciu z państwowością rosyjską widzi największe nieszczęście dla swego narodu i dlatego zawsze woli ciosy z rąk moskiewskich, niż koncesje.

Istotny stan uczuć polskich w chwili wybuchu obecnej wojny zadokumentował się dwoma historycznymi faktami: Suchomlinow przez 3 dni nie ogłaszał mobilizacji w Królestwie, by tem nie wywołać przedwczesnego powstania, zaś cała horda moskiewska uciekała w panicznym przerażeniu przed widmem rzezi polskiej. To przerażenie Moskwy przed grozą rzezi

polskiej jest najwymowniejszym świadectwem, z jakim współczesne pokolenie polskie stanie przed sądem historii.

Nie o łagodzenie jego wyroku mi chodzi, lecz o prawdę. Nastroj powstańczy w Polsce był. Rosja rozumiała to doskonale. Ze się ten nastrój powstańczy zmarnował i nie wybuchnął olbrzymim pożarem, któryby przyspieszył pogrom Rosji, a mocarstwom centralnym ułatwił ostateczne zwycięstwo, w tem nie wyłącznie nasza wina, lecz przede wszystkim wina warunków zewnętrznych.

Historja ma już nagromadzony olbrzymi materiał dla zbilansowania tego rachunku pro i contra. Niewątpliwie, poważną podstawą dla jej bezstronnego wyroku będzie szczere, bardzo uczciwe wyznanie niemieckiego kanclerza z dnia 5 kwietnia, że „Niemcy i Austria nie miały zamiaru wysuwania sprawy polskiej w obecnej wojnie“.

Dlatego to Polska nie została wezwana dobitnie i wyraźnie przez mocarstwa centralne w charakterze równorzędnego sojusznika w wojnie przeciw Rosji, a nastrój i ruch irredentystyczny polski czerpał podniety jedynie z żywiołowej nienawiści do Rosji i z stuletniej tradycji przeciwrosyjskich powstań naszych.

Na podstawie dokumentów drukowanych i faktów już uwidocznionych kategorycznie stwierdzić należy, że Polska, aczkolwiek skrepowana w odegraniu roli czynnika równorzędnego w wojnie przeciw Rosji, niemniej jednak, kierując się li tylko instynktem samozachowawczym i posłuszna nakazowi stuletniej tradycji, usiłowała przez swoje organizacje niepodległościowe, a przy pomocy olbrzymiej masy społeczeństwa, pomagać na wszystkich polach mocarstwom centralnym w pokonaniu Rosji. Jeżeli się zważy, że każdemu zecerowi, składającemu odezwę w tajnej drukarni, i każdemu organizacyjnemu jej kolporterowi groził stryczek, to się dopiero zrozumie ten entuzjazm do wojny z Rosją, jaki rodził tysiące bezimiennych bohaterów. A przecież druki i ich kolportaż to była ułamkowa część ogólnego wysiłku narodowego z pierwszego roku wojny. Na barkach niepodległościowych organizacji leżały stokroć cięższe obowiązki, jak: grupowanie, ćwiczenie i wysyłanie za kordon żołnierzy do Legionów Polskich, zorganizowanie całego aparatu wywiadowczego i systematyczne dostarczanie wiadomości wojskowych na ręce Legionów, zorganizowanie lotnych oddziałów, wojny ulicznej, podważanie mostów, posiedzenia dróg, telefonów, wzbudzanie popłochu w taborach, dezorganizowanie armji rosyjskiej przez propagandę wśród Polaków w wojsku, a za ich pomocą przez agitację antypaństwową wśród Rosjan, przechowywanie licznych tysięcy dezertersów z armji rosyjskiej.

Dla wypełnienia tych wszystkich zadań potrzeba była bardzo dużo ludzi energicznych a ofiarnych i środków olbrzymich. I ludzi tych i środków dostarczyła pomoc społeczeństwa, pomawianego dziś o moskalofilstwo, społeczeństwa wyniszczonego przez wojnę, a zdeorientowanego w sprawie polskiej.

My wszyscy, którzy ze społeczeństwa wydobyliśmy ten ofiarny czyn antirosyjski, mogliśmy mu powiedzieć tylko jedno, że doszczętny pogrom Rosji jest szczęściem dla Polski. I nic więcej!

A jednak setki Polek z najlepszych rodzin przedzierały się przez dzicz kozacką z depeşami do Legionów! A jednak kilkadziesiąt tysięcy Legionistów na wszystkich polach bitew chwałą bohaterską okrywały imię polskie!

Rozumiemy, że wszystkie te cenne wysiłki nie są nawet w małym stopniu wyrazem siły dwudziestoparomiljonowego narodu, a w żadnej mierze nie dorastają do wysokości jego aspiracji i dumy. Wiemy, że są one drobnym atomem w ogólnej sumie krwawych wysiłków, przez które Europa zdążyła w obecnej wojnie do swego odrodzenia. Wskazujemy na nie jedynie jako na fakt znamienny politycznie, jako na wymowne świadectwo prawdy dziejowej.

A tą prawdą jest, że ani święte Polki--wywiadowczynie, ani bohaterzy Legionów nie mogliby wyrosnąć z gruntu zanieczyszczonego bakterjami moskalofilstwa. Wszystkie te ofiarnice i wszyscy ci ofiarnicy szli na wierną śmierć dla zdobycia państwa polskiego, lecz bez żadnych gwarancji zdobycia Niepodległości Ojczyzny. Jedyłą siłą motorową, która ich pchała pod kule lub pewny stryczek, była wiara, zaszczerpiona w duszach naszych przez wszystkich proroków Narodu, że państwo polskie może powstać tylko na gruzach potęgi moskiewskiej.

To jest fakt tragicznie bezsporny. A również bezspornym jest faktem, że za dużo było tych ofiarnic i tych ofiarni-

ków, by można było Naród, który ich wydał, oskarżać o zbrodnię moskalofilstwa.

Dlatego też z całą stanowczością twierdzą, że wszystkich nas łączy wspólny wstręt do Moskali i przerażenie przed widmem ich powrotu.

Rzecz prosta, że od sądu wszelakiego zwolnione być muszą te biedactwa polskie, których uczucia i instynkty urabiają interes i troska dnia codziennego.

Mówiąc o „wszystkich Polakach“, mam wszakże na myśli tylko tych, od których można wymagać poczytalności i odpowiedzialności historycznej za przyszłość Narodu.

Co nas dzieliło?

Pokolenie nasze wyrosło w najcięższym okresie eksterminacji. Mściwość moskiewska, podniecona wybuchem ostatniego powstania tępiła przez pół wieku najdrobniejsze przejawy życia narodowego, karząc nas za bunt ojców, a głównie za pobiegając buntowi wnuków. Im więcej schylały się niewolnicze głowy, tem srożej szalało to żywiołowe niszczycielstwo rozbastwionej dzicy moskiewskiej. Wewnętrzne warunki trójdzielnicowego bytowania i zewnętrzne warunki międzyimperialistycznych ukształtowań się politycznych wytworzyły stan zupełnej beznadziejności, w której codzienne wymogi życia zdołały zaszczerpieć samobójczą zasadę lojalizmu, jako środka ocalenia życia za cenę zrzeczenia się dążności do bytu niepodległego.

Bez względu na swą barwę wszystkie kierunki zduszonej myśli polskiej zbiegały się w jednym, w uznaniu konieczności przystosowania się do warunków niewoli. Najbardziej irredentystyczny obóz, skupiony w szeregach Ligi Narodowej, przeciwstawiający się przy swych narodzinach zasadzie lojalizmu, gdy zeszedł na realny grunt powszechnej beznadziejności polskiej, nawet nie spostrzegł, z jaką łatwością ów zwalczany przez się lojalizm przykrył figowym liściem hasła „walki o prawo w ramach obcych państwowości“.

Stąd już jeden tylko krok do szukania modus vivendi z państwowością rosyjską. I krok ten z niemniejszą łatwością został uczyniony.

Całe pokolenie, wyhodowane w atmosferze beznadziejności, traktowało sprawę niepodległego bytu nie jako cel realnych osiągalnych dążeń, lecz jako ideał moralny, zawieszony po za przestrzenia i czasem. Najlepsi z tego pokolenia poczuli się li tylko do obowiązku bronięcia życia polskiego przed doszczętną zagładą, przed ostatecznym zalewem moskiewskim, nie kuszając się o wyrzucenie najazdu z ziem polskich. Taką właśnie była Liga Narodowa. W zasadzie: hołdowanie ideałowi Niepodległości, zaś w praktyce — początkowo zacna praca nad tajną oświatą ludu, podziemne szkółki i ochronki, a w końcu, na pierwszym kroku przy przejściu od apolityczności do polityki, załamanie się i pograżenie w bagnie państwowości rosyjskiej. Tak! Beznadziejność nie zrodzi wielkich celów, nie wyhoduje wielkich charakterów.

Tembardziej nie wyrosną te wielkie cele i wielkie charaktery tam, gdzie za maluchne cele, nie duże, jeno pocziwsze charaktery szły do cytadeli i na Sybir za borykanie się z Moskwą o prawo do oddechu.

Znakomicie rozumie fatalne skutki beznadziejności hr. Andrassy, czemu daje wyraz w swej wspaniałej mowie z dnia 14 Czerwca, zapowiadając swym rodakom, że nierozwiązanie sprawy polskiej może nas doprowadzić do panslawizmu, to jest do samobójstwa.

Jeżeli to znakomicie rozumieją już obcy, to my w obecnym okresie samobiczowania się tembardziej winniśmy zrozumieć psychikę, wytworzoną w czasach beznadziejności, nie ku łatwiejszemu rozgrzeszeniu siebie z win, lub zbrodni, lecz ku pokrzepieniu serc, które teraz winny uderzyć wspólnym silnym akordem, gdy sprawa samodzielnego bytu państwowego z niedościgłych wyżyn ideałów staje przed nami, jako najrealniejszy cel do osiągnięcia.

Jeszcze raz więc powtarzam. Całe nasze pokolenie wyrosło w domu niewoli, w więzieniu. Wytworzyła się w nim psychika katorżników, skazanych na dożywotnie pozostawanie za kratą. Rzadko który katorżnik próbuje łamania krat, targania kajdanów. Większość, olbrzymia większość przy-

stosowuje się do warunków więziennych, a ku uwygodzeniu swej wegetacji usiłuje zaskarbić przychylność srogich dozorców.

Dominującym uczuciem wśród więźniów jest: przerażenie.

Przeszło przez 50 lat żyliśmy w więziennym przerażeniu przed widmem dawnych Murawjewów, Bergów, następnych Hurków, Skalonów, ochrany, żandarmów, cytadeli, szubienicy.

Taką była rzeczywistość, a wytwarzała ona nieszczęrosć stosunku między więźniami, nieszczerość stosunku katorżników do wszystkich tradycyjnych świętości.

Anemicznym głosem recytowały jeszcze usta: „mierz siłę na zamiary“, lecz wytrzeźwiony rozum przerażonego Polaka odszeptował: „nie głupim“. Gdybym miał określić jednym słowem psychiczny stan więźnia polskiego z ostatniego półstulecia, powiedziałbym: „bał się“.

Gdy przed dwudziestu laty garść śmiałków zabrała się energicznie do tajnej oświaty narodowej wśród szerokiej masy ludu, przeciętnej poczciwy Polak „bał się“ o „nowe ofiary“. Gdyśmy rozpoczęli bojkot szkoły rosyjskiej, przerażony tem ogół „bał się“ o „zmarowanie życia młodych pokoleń“. Gdyśmy urządzili demonstracyjną pielgrzymkę Unitów do Papieża, najszlachetniejsi ludzie, w rodzaju Ludwika Górskiego, „bał się“ o „skutki niepotrzebnego drażnienia Rosji“. Gdy poczuwaliśmy w powietrzu proch od roku 1908, rozpoczęliśmy propagandę wojskowości polskiej i wysoko wzniesiliśmy sztandar wojny z Rosją, różni najpocziwsi ludzie „bali się“ o „fatalne skutki awanturniczych przedsięwzięć“ i zupełnie szczerze ogłaszali nas za „warjatów“ i „niepoprawnych szkodników“. Gdy wybuchła wojna, wszystkie partie, przystosowane psychicznie do niewoli więziennej, zdrewniały z przerażenia przed wszystkim. „Bały się“ wszystkiego, a więc „bały się“ zwycięstwa Rosji, bo przecież rozumiały, że dla Polski to ostateczny grób; „bały się“ zwycięstwa Niemców, bo „napewno zduszą nas do reszty“, a najwięcej, bo najrealniej „bały się“ wypraktykowanej już mściwości moskiewskiej, w razie narażenia się jej „jakaś awantura“. Przerazonym impotensom prawdziwa ulga miała sprawić odezwa Mikołaja, bo w niej wódz nie tylko „sroży się na więźniów, ale obiecuje, dużo obiecuje łask“, w koło tej łaskawej odezwy miałyby się nie owinąć cała zna narodu, pogrążona w stanie przerażenia psychiczne 50 lat.

Przerazonej słabości polskiej ta odezwa musiała dać jentację“, tembardziej, że sojusz z Anglią i Francją odegrał rolę opłatka, ułatwiającego duszy polskiej przelknięcie nieralnego przymierza z barbarią moskiewską.

Gdy się nadto uwzględni, że z przeciwnej strony, od carstw centralnych nie dochodził żaden zdecydowany głos, że z tej atmosfery przerażenia mogło wyrosnąć i dziesiątków tysięcy zdeterminowanych imiennych bohaterów Legionach, oraz wielokrotnie więcej bezimiennych bohaterów, którzy się zaprzęgli do podziemnej wojny z Rosją.

Skąd ich aż tylu, gdy ich ojcowie i bracia umieli ty „bać się“.

Ta pobieżna analiza już wystarczy, by stwierdzić, że dzieli nas nie antirosyjskość jednych, przeciwstawiająca się wrzekomemu moskalofilstwu innych, gdyż ja naprawdę nie znam Polaka-moskalofila. Natomiast zupełnie wyraźnie, wprost przepaścisto dzieli nas różny stan psychiczny „bania się“ i „nie bania się“; determinacji czynu u jednych, przeciwstawiającej się bezwładowi bezczynu u innych.

Ten bezwład bezczynu ludzi sparaliżowanych chronicznym „baniem się“ ubiera się w różne teorie i przywdziewa różne orientacje, zawsze sprowadzające się do jednego, rozrzeszającego ich, twierdzenia: „jeszcze czas nie nadszedł“, które czasem zmienia się w zapewnienie, że „już czas przeszedł“.

Bezwład paralityków nie potrafi spojrzeć w oczy jednej niezbitej prawdzie, że o losach narodu rozstrzyga jego armia.

Paralitycy w swym bezwładzie mogą zdobyć się co najwyżej na „chcenie“ Niepodległości, ale bez przymusu nie rzucą z siebie nic na szalę biegu wypadków, by tę upragnioną Niepodległość osiągnąć.

Oto najwymowniejsze przykłady.

Żywioły czynne w chwili wybuchu wojny odrazu nierozdzielnie złączyły zwycięstwo sprawy polskiej ze zwycięstwem mocarstw centralnych i postanowiły orężną siłą polską wspomagać te mocarstwa w pokonaniu Rosji. Nie mogąc bez polskiego rewirowego i przymusu poborowego wytworzyć armii polskiej, żywioły czynne zorganizowały Legiony.

Legjony dobrowolną ofiarą krwi niezrównanem bohaterstwem przywróciły szacunek i cześć imienia polskiego nawet u wrogów. Jakżeby ciemno było dziś w tej Ojczyźnie naszej, kirem okrytej, gdyby nie promienie słońca, które od Legjonów na nią padają. W chwili, gdy cały świat stanął w ogniu życia, jeno na cmentarzysku polskim, bez Legjonów, panowała by grobowa ciemność nocy i lodowate zimno trupiej martwoty.

To jest święta prawda, już oczywista dziś dla wszystkich, że tylko Legjonami Polska odpowiedziała na pytanie, czy już zginęła, czy jeszcze nie zginęła.

A jednak odpowiedź ta, decydująca o przyszłości Narodu, przez jakież wewnętrzne trudności przebijać się musiała, zanim zajaśniała słonecznym blaskiem chwały. Toż nieomal przez rok zbieleła z przerażenia usta paralityków powtarzały za różnymi Dwukopiejkówkami, że Legjony to „nikczemna niemiecka pułapka na szaleńców polskich“, zaś organizatorów Legjonowych, i tu i za kordonem, piętnowały nazwą „agentów pruskich“. Tak było. Paralitycy niby najlepszego gatunku raczyli „sympatyzować“ z Legjonami, ale ani jednego żołnierza, ani jednego grosza Legionom nie dali.

Legjonowy czyn był zbyt zuchwały, by mógł pociągnąć ku sobie ogół impotensów, którzy wszystkie swe pocziwe i szczere nadzieje umieścili na hipotece „kongresu“, na który wielotomowe dzieła w ciszy gabinetów przygotowywali. Bezskornie było to pracowite, a głównie, że nie ryzykowne. Uda się — dobrze, nie uda się — trudna rada. I sumienie czyste — i skóra cała.

Tymczasem wypadki biegły z piorunującą szybkością. Moskwa z całą swą bestjalną mściwością uciekła.

Paralitykowi wywietrzała z głowy nikczemna bajka o „intrydzie pruskiej“. — w jego oku zaświeciła łezka współczucia dla tych „dzielnych chłopców, którzy tak niepotrzebnie giną“.

A ci „chłopcy“ wciąż się bili, i coraz dzielniej, coraz chwalebniej. Skurczona duszyczka paralityka poczęła rozszerzać się. Drgnęło w niej uczucie oddawna nieznaney dumy z bitności polskiego żołnierza.

Z czasem przyjdzie wstyd, jako oznaka zupełnego uzdrowienia.

Tymczasem zaś paralityk z szczerą lubością wysłuchuje opowieści o bohaterstwach „dzielnych chłopaków“, wygrzewa swą okaleczoną duszę w promieniach słońca, od Legjonów bijących, ale jeszcze nie wstydi się. Z czynem... czeka na rewirowego i na przymus.

To przykład jeden.

Drugi znacznie mniejszej wagi, lecz niemniej charakterystyczny.

Okrzyczani o aneksyjność, o zachłanność germanizacyjną Niemcy organizują uniwersytet polski i politechnikę, nadają dobrą ustawę Rady Miejskiej.

Wobec tego jedni paralitycy. „mądrale“, „esprits forts“, reflektują ogół ostrzeżeniami przed „nową pułapką pruską, zastawioną na dobrą wiarę polską“, a drudzy, ci naiwniejsi, cieszą się. Bo to i nauka polska i gadalnia dla zademonstrowania naszego celu — gotowe spadły do otwartej gęby, jak manna niebieska.

To jeden stan psychiczny, powiedziałbym starczy, zwiędły, niedoleżny.

A przeciwstawny stan psychiczny żywiołów czynu?...

One bacznie śledzą i skrzętnie notują wszystkie żywe dowody tego faktu, że mocarstwa centralne — i tylko one, a nikt inny — utworzą i zorganizują Niepodległe Państwo Polskie.

Niemniej te żywioły czynne czują się upokorzone w swej dumie narodowej przez to, że tę naukę polska i tę Radę Miejską zawdzięczamy tak mikroskopijnie małej ilości Legjonowej krwi polskiej, a tak olbrzymiemu morzu przelanej krwi niemieckiej.

Te żywioły czynu są i upokorzone i zaniepokojone tem, że tę naukę polską, i tę gadalnię radziecką, i to nasze wolne wiecowanie, łącznie, co najważniejsze, z całą naszą przyszłością, ochrania na frontach wołyńskim i galicyjskim przed nową inwazją milionowych hord moskiewskich, tylko mur z żywych piersi żołnierza niemieckiego, przy mikroskopijnie małym udziale stalowych piersi polskich.

Cała małość polska sprawia wrażenie, jakby była na przedstawieniu cyrkowem. Prawie już przeświadczyła się ona, że niemiecki Dawid pokona mongolskiego Goliata, więc uplasowuje się na niego lub więcej wygodnie w łóżkach i krzesłach, czekając na moment, kiedy Dawid, przepasany w pasie, z wygięciem jego frontu, a prze-

dewszystkiem wzdycha tęskliwie do końca przedstawienia, które zbyt długo przeciąga się i już ją znużyło.

Wbrew jej woli i bez jej udziału krwawe zapasy jednak trwają, więc małość polska uczy się i uczy, je, pije, trawi spokojnie, wiecuje, wreszcie na różnych trybunach zaczyna ujawniać swe „chcienia“, zadowolona z tego, co ma, niezadowolona zaś z niewygód i dokuczliwości wojennych, bez głębszej, a przeważnie bez żadnej myśli o tem, że jej dalszy spokój, że los wielu przyszłych pokoleń polskich zależy od stanu rzeczy na froncie.

Zaiste, szczęśliwa, beztroskliwa małość polska! Śpi w błogim spokoju wówczas, gdy potępięczym żywiołom czynu sen z powiek spędza troska o to, czy wytrzyma mur bohater-skich piersi niemieckich pod naciskiem wielomiljonowej hordy. Małość ta odsuwa od siebie wszelką troskę, gdy każdego Polaka musi trawić żal, dlaczego dotąd milionowa armja polska nie stoi waleńm ochronnym na straży wyzwolonej ziemi polskiej.

Tak było dotąd. Byłbym niewymownie szczęśliwy, gdyby mi kto udowodnił, że w swej diagnozie się mylę. Znam szlachetność duszy polskiej, wierzę w jej zdolność do najgórniejszych lotów, dlatego tem silniej odczuwam tę straszną krzywdę dziejową, jaką nam sprawiło niszczycielstwo moskiewskie, ogałając nasze pokolenie z odczucia wielkich trosk, z porywów do wielkich zadań, z żądzy osiągnięcia wielkich celów. I tem niklejszą wydaje mi się ta dzisiejsza małość nasza, gdy staję przed postacią olbrzyma hartu i charakteru, gdy wpatruję się w wielkość duszy, gdy wczuwam się w ogrom wiary ostatniego Dyktatora, Romualda Trauguta.

Wszak to dziś Jego święto. Dziś dzień Jego męczeństwa na szubienicy, na której otrzymał zasłużoną nagrodę za to, że sam jeden żelazną ręką z podziemia swego przez pół roku utrzymywał przy życiu upadające już i zdławione powstanie.

A my? — Moskal o 400 wiorst od Warszawy, w kraju milion zdrowych Polaków, zdatnych pod karabin, — jeno trzeba czuć grozę położenia, jeno trzeba chcieć Moskala do Polski nie wpuścić, jeno trzeba całą duszą zapragnąć własne państwo własną krwią zdobywać!

Ale dość tych szarpiących zestawień. Jedni z nas mniej dali się strawić bizantyjskiej rezygnacji, inni więcej. Przerażenie więzienne jednych więcej zżarło, innych mniej. Różnice w stanach psychicznych były dotąd między nami przepaściste. Ale one się wyrównują. I wyrównują się przez podniesienie aspiracji i charakteru ogółu do poziomu wielkich zadań, które spadły na barki narodu. Widziałem już podczas tej wojny jedną taką zwrotną chwilę w napięciu uczuć ogółu, w stanowczości jego woli.

Przypadło to na czas jesieni, zimy i wiosny, kiedy Moskwa docierała aż pod sam Kraków, Eulogjusze rozgospodarowali się na dobre we Lwowie, a dzicz kozacka zagrażała Wawelowi. Zdawało się, że już wszystko przepadło. I właśnie ta groza dalszego jarzma pod nienawistnem berłem Romanowych wywołała najwyższe napięcie wysiłków w podziemnej wojnie Polski z Rosją.

Potem odwróciła się karta. Moskwa wyparta o paręset wiorst od Warszawy, więc zaczęły się bezmyślne gadaniny o „nowym zaborcy“.

Na nas — czy nie na nas spada większa wina za stan tej bezmyślności — osądzi kiedyś historia. Dość, iż ludzie jakby zapomnieli, że wojna trwa i że potrzeba dalszych nadludzkich wprost wysiłków, by ją wygrać.

Nie troska o wygranie wojny z Rosją, lecz różne dokuczliwości wojenne zaprzętnęły uwagę niemal powszechną, a wrażliwość zaostrzała się chorobliwie w kierunku nadmiernego podkreślania uzasadnionych lub sztucznego wytwarzania nieuzasadnionych pretensji do czasowych okupantów. Tymczasem zaś Moskwa gotowała się do nowej ofensywy i natarciem milionowych kolumn na wołyński i galicyjski front namacalnie przypomniiała, że wojna jest w pełni rozwoju.

Żywe, a tak łatwo zapomniane niebezpieczeństwo oprzytomniło ludzi. Groza klęski, równającej się grobowi, stanęła przed ich oczyma w całym swym ogromie. Widzę we wszystkich, literalnie we wszystkich nie przerażenie niewolnicze, lecz zdrowy niepokój sumienia.

Widziałem nawet ludzi szalejących z rozpacz, dlaczego nas dotąd niema tam, gdzie się rozstrzygają losy wojny. A słyszałem, nie na wiecach od parady, lecz w poważnej rozmowie męski głos, stwierdzający, że już dość tego czekania, że już nadszedł czas czynu. Pochodził ten głos od ludzi, którzy dotychczas hamowali wszelki czyn, ze sprawą wygrania wojny z Rosją.

NIEPODLEGŁOŚĆ" pismo, poświęcone polityce polskiej, zmierzającej do wytworzenia Niepodległego Państwa Polskiego. Redakcja Ordynacka 8. od 1 Sierpnia został wznowiony i w nim Grzegorz Wierny po dawnym poucza Braci Rodaków o prawdziwym

Widzę naocznie, że widmo inwazji moskiewskiej kamienie może poruszyć. Rozumiem, że z patykiem nie ruszymy przeciw bagnetom.

Wiem, że dla wytworzenia milionowej armii polskiej nieodzowną jest decyzja mocarstw centralnych, umożliwiająca nasze orężne współdziałanie w pokonaniu Rosji. Ale też widzę tę konieczność dziejową, która do tej decyzji je prowadzi, nie wątpię zaś, że zobaczą swój naród zespolony w jednym olbrzymim czynie, który mu da Wolne Niepodległe Państwo, a w nim pełnię rozwoju.

Aleksander Zawadzki.

Wspomnienie.

Wam, Ojce, którzyście męczeńską swą śmiercią w nas pożądanie walki rozpłomienili, wspomnienie to poświęcaim.

Trzy imiona swych druhów serdecznych, trzy cudne kwiaty młodzieży polskiej u stóp szubienicy Waszej składam, na świadectwo, żeście bezpotomnie nie zginęli, że krew Ojca mścicieli w synach znajduje. Oto oni najdrożsi:

Stanisław Długosz (Tetera) podpor. I Brg. L. P.

Zygmunt Karwacki (Bończa) podpor. I Brg. L. P.

Tadeusz Grabiński (Korsak) żołnierz komp. kadrowej 1-go pułku strzelców.

Poznaliśmy się w wirze prac Organizacji Młodzieży Narodowej.

Walka o Szkołę Polską, — pierwszy od pół wieku — polski bunt, — nas zbliżył.

Rwące pragnienie zbrojnego czynu braterstwem dusze nasze sprzęgło.

Nad głowami naszymi szumiały też same drzewa, które przed laty widziały Belwederczyków.

Przyszliśmy, by w rocznicę ich czynu, na miejscu ich stopami poświęconem, przysięgą stwierdzić, żeśmy ich ducha i krwi potomkowie, że święty ich okrzyk „do broni” trwa przez pokolenia, jednako silny, jednako polskimi duszami władny.

„Na świętą krew, w walce o Niepodległość przelaną, na prochy Ojców, którzy w niewoli Sybiru pognili, na łzy matek, którym dzieci katowano, na jęki męczenników Oszmiany, przysięgam nie zapomnieć nigdy, krzywd Ojczyzny mojej, nie ustać w walce z najazdem moskiewskim i z radością życie swoje, krew swoją i siły swoje oddać, skoro Polska do Czynu powoła”.

Przysięgli — i dotrzymali. Trzech z „radością” swe życie już Polsce oddało.

Wojna spełniła nareszcie marzenia nasze.

W krakowskiej ziemi rozbrzmiała polska pobudka, z pół-wiekowego snu budząc cieniste lasy, powstańca wiernych opiekunów.

Spotkaliśmy się w Kielcach, gdy wkraczał I Bataljon strzelecki.

Najmłodszy z nas wszystkich Tadzio, i największy entuzjasta, miał przy powitaniu łzy uniesienia w oczach. Żył tylko pragnieniem walki, całą swą młodą, kryształową, piękną duszą rwał się naprzeciwko wroga. Jego też najpierwszego zabrała nam Polska w ofierze. Zginął w ataku na moskiewski karabin maszynowy, legł z imieniem Polski na ustach.

Młode, cudne serce przestało bić, lecz trup jego to ogniwo wiążące po przez przestrzeń czasu dwa pokolenia, — to, które w beznadziejnej, leśnej walce, już nie wyzwolenia, lecz zemsty szukało, z tem, które dziś, w huraganie wojny światowej stwierdza krwią nieśmiertelność sprawy polskiej.

Spokojnie więc śpij, Tadziu serdeczny! Krwią swoją miałeś szczęście dać początek świętej ofierze narodu, — składanej na ołtarzu wolności, przez każde pokolenie.

Drugi w rok po nim poszedł Stasiek Długosz.

Nie danem mu było od pierwszej chwili stanąć w szeregach walczących. Rozkazem komendanta przydzielony do Biura Wywiadowczego przez czas pewien osłaniał, jako cywilny w walce, formujące się oddziały strzeleckie przed

niespodziewanym napadem moskali. Z zaparciem się siebie, choć z wielkim żalem, pełnił tę służbę, gdy inni, szczęśliwsi od niego, zbrojnie spotykali się pierś o pierś z moskiewskim żołdakiem. Aż wreszcie, po paru miesiącach, udało mu się dostać do szeregów. Ranny powraca, mimo niezaleczonej blizny, na linię, ażeby wziąć udział w ofensywie majowej, która miała raz na zawsze oczyścić ziemię polską z plugastwa moskiewskiego. Legł na ziemi lubelskiej w chwili, gdy przyszła wiadomość, że jego ukochana Warszawa wolna.

Zablakana kula przeszła to promienne serce, które je- no dla Ojczyzny biło, lecz zginął szczęśliwy i radosny, bo widział wraź potęgę zmiażdżoną, a Polskę zmartwychwstającą.

Ostatnio legł w bagnistych równinach Polesia Zygmunt Karwacki, dzierżąc świętą straż nad Styrem.

Pierwszy z nas wszystkich wkracza z karabinem w zięmię krakowską, jako jeden z siedmiu brawurowego patrolu Be- liny.

Po pewnym czasie, porzuca służbę w konnicy, gdyż za mało mu ona dawała okazji zetknięcia się z wrogiem pierś o pierś.

Po paru miesiącach uciążliwych walk rozkaz każe mu zdjąć mundur i po cywilnemu przekraść się do Warszawy, ażeby tam budzić śpiącego ducha, organizować polską moc, przygotowywać czyn.

W podziemnej, kreciej robocie, podminowującej pano- wanie moskiewskie, doczekał się szczęśliwie owych pamiętnych dni sierpniowych, gdy fala moskiewska, niszcząc i druzgocąc wszystko spotkane, zaczęła się na wschód cofać.

Z radością przywdziewa znów mundur, ażeby ścigać znienawidzonego wroga, a potem pierś swą zasłaniać ziemię polską przed jego naporem.

W huraganowych walkach ostatnich, w potężnym zma- ganiu się z kilkakroć przeważającym wrogiem, legł.

Spełnił swój obowiązek — dotrzymał przysięgi.

Gdzieś zdale od rodzinnych proszowieckich łąk, mo- giła Twoja, Zygmuncie. Kiedyś, oracz, żelazem pluga swego zawadzi może o kości Twoje spróchniałe i nie będzie znał, czy- je to śmiertelne szczątki wygrzebał, lecz jeśli to będzie już Polak wolny, to mu serce powie, po czym grobie stapa, a usta wyszepcą nabożnie — spoczywaj w pokoju Ty bezimienny, z którego krwi wolność Polski wykwitła.

Nie żołnierska to rzecz smutek — więc nie łzą żegnaj Was — najdrożsi, nie płacze się po szczęśliwych, bo dzisiaj, wszak szczęśliwym jest ten, który za Ojczyznę walczy i umiera.

Śle Wam więc tylko bratnie, żołnierskie wspomnienie i życzenia, ażeby ziemi, krwią Waszą poświęconej, nie skalała już nigdy stopa najeźdźnika.

Bolesław Zawadzki,

ofic. Legj. Polskich.

Z rozmyślań i doświadczeń.

Wyczekiwanie „Człowieka”.

W bezpieczeństwa rozgardjaszu polskim staje się po- wszechnym wyczekiwanie „człowieka”, któryby zanarchizo- waną myśl uporządkował, a zbiorowej woli nadał jednolity kie- runek.

Ogółowi, wychodzącemu z bezwładni, obmierzły już za- biegi i szacherki kramików partyjnych i stronnicych, tracących drogi czas na jałowych rozprawach, gdy dach nad głową się pali, a sama wojna rozumowi, nie wykoszlawionemu przez nie- wolę, wskazuje prostą drogę do czynu.

W normalnych warunkach życia państwowego można z całą słuszością twierdzić, że partie polityczne są tyle warte, ile jest wart ogół, z którego one wychodzą. U nas wręcz od- wrotnie.

Przedewszystkiem, przy braku jawności życia, nie mieli- śmy politycznych partji w dosłownem ich znaczeniu. Przez pół stulecia wytwarzały się dwa kierunki: dośrodkowy i od- środkowy, na których tle rodziły się, zamierały, by znów się odrodzić, silniejsze lub drobniejsze, lecz zawsze tajne grupki organizacyjne, dzielące się wewnętrznie między sobą najczę- ściej nie różnicami w talmudyzmie programowym, lecz animo- zjami osobistymi swych kierowników.

Na gruncie powszechnego niezdrovia musiało wyrosnąć to obrzydliwe partyjnictwo, jakie grasuje w nieprzewietrzanym od tak dawna polskim domu niewoli.

I to jest przyczyną, że nasz sproszkowany ogół jest zawsze stokroć więcej wart, niż grupki partyjne, które z niego wyszły.

Ten ogół jest przedewszystkiem szczery w swym zbiorowym instynkcie, a w swej szczeroci prostolinijnie konsekwentnym, gdy owe wszystkie grupki są nieszczerze, aż do szalbierstwa, aż do zaprzaństwa względem wczorajszych swoich świętości.

Dlatego ogół ze swym zdrowym instynktem, ze swą prostolinijnością stanowi wartość stałą, na której można budować, tymczasem wszystkie grupki partyjne przedstawiają piasek ruchomy, na którym żadna budowa oprzeć się nie może.

Szczególniej w okresie przejściowym od tajności do jawności życia otwiera się tak szerokie pole do zakulisowych intryg o osiągnięcie władzy nad tem, czego jeszcze niema, że te grupki same się strawią w wewnętrznym samopożeraniu się pierwej, niż zbudują coś dla narodu, lub choćby dla siebie.

To też ogół z coraz większym obrzydzeniem przygląda się tej maskaradzie i tym zaciekłościom partyjnym, tym minom i kontrminom pod siebie przez nie podsadzonym, tym nikczemnościom oszczerczym, którymi owe nicości partyjne do reszty siebie dobijają.

Niektóre z nich pełniły bardzo ucziwą służbę narodową i dlatego mniej lub więcej szeroki ogół jeszcze otacza je sympatją, ubolewając jeno, że i one zeszyły z drogi ucziwej i ofiarnej służby — na bezdroża karierowiczostwa partyjnego, które je doprowadza do konkurowania z przeciwnym partyjnym sklepikiem tandetą najlichszego gatunku.

Nabierając coraz większego obrzydzenia do tej tandety i szalbierstwa, ogół polski wreszcie z niepokojem sumienia zapytuje: więc gdzież jest prawda? gdzie właściwa droga zbawienia? Dlaczego ci, którzy reparaowali swą bojówkową opinię przez szczery udział w Legionach, dziś tak zawzięcie podkopują ich istnienie w korzeniu? Dlaczego inni, którzy wczoraj Legiony uznawali za nietykalną świętość, dziś głoszą, że koniecznym jest ich rozwiązanie? Dlaczego znów inni, którzy przed niespełna rokiem okazywali odporność w stosunku do sprawy Legionów, dziś przykrywają się ich sztandarem? Dlaczego ten sam człowiek w jednym pokoju może być zaciekłym, organicznym antysemitą, a w innym jest przekonany filosemitą?

Dlaczego niektóre grupki publicznie składają deklaracje za nieprzejednaną wojną przeciw Rosji i tem samem oświadczają się za sojuszem z mocarstwami centralnymi, zaś w swych tajnych pismach i odezwach uprawiają tak ohydnie demagogiczne szczucie rozgoryczonych mas przeciwko mocarstwom centralnym, że pozazdrościłby im tego prowokator rosyjski?

Dlaczego jeden i ten sam człowiek wśród chłopów jest antisocjalistą, a wśród robotników socjalistą? Jaka jest zasadnicza różnica między P. P. S. (lewicą) a S. D.? Jednakowo żydowskie, jednakowo klasowe, jednakowo antypolskie. Dlaczego się nie zleją?

Jaka jest różnica między tak zwanym Postępem a N. D. P. R.? Niema żadnej. Dlaczegoż nie zwały się od dwóch lat?

Dlaczego ci, z których Marks oddawna wywietrzył, w dalszym ciągu dorabiają sobie klasowo-socjalistyczne nogi w nizinach fabrycznych?

I ogół, nie otrzymując rozsądnej odpowiedzi na te trapiące go pytania, zaczyna rozumieć, że te wszystkie partyjki nie są wielkimi obozami różnych myśli politycznych, lecz pospolitymi kramikami wszelkiej tandety, a w najlepszym razie nikłymi źródłkami hysterji politycznej. Tem skwapliwiej więc, ogół nasz ogląda się za „Człowiekiem“, któryby go z chaosu myśli i wskazań wyprowadził na bity gościniec konsekwentnego czynu.

I w tym wypadku, jak w wielu innych, kieruje ogółem zdrowy instynkt, który mu wskazuje, że nie cudaczne, nie kłamliwe partje zbawiają Polskę, lecz „człowiek“. Byli już tacy w naszej historii. Żyją w pamięci ogółu. Był Kościuszko. Stał na czele narodu i poprowadził. Nie zdzierzył. Był Traugut. Gdy resztki polskiego żołnierza przelewały swą krew po lasach, przyszedł Traugut, by rozpedzić gryzących się ze sobą rządzicieli i objąć ster władzy.

Cichy, stanowczy, bogohojny, przedtem prawie nikomu nieznany, przyszedł ten rycerz bez skazy z błotnych stron pińskich, by ostatnim promieniem słonecznym oświecić konające powstanie.

On też nie zdzierzył, ale uratował honor krwawego wy-

silku, tak lekkomyślnie grzebany przez histerycznych Robespierzyków i ambiñnych wartogłów. Teraz — w chwili osobliwej, ogół, zdrowym instynktem wiedziony, wyczekuje nowego Kościuszki lub Trauguta.

Napewno przyjdzie, bo przyjść musi w tym przełomowym momencie dziejowym. Ale też napewno ten opatrnościowy mąż nie wyjdzie ze środowisk, w których dziś wysmażają się operetkowe Rządy Narodowe i rozdzielają się w wyobraźni operetkowe ministerjalne teki.

Nie. Nie zrodzi wrona sokoła.

Skądś, może z szarego zagona, może z zacisza małomiasteczkowego, może z pod mitry jakiejś przyjdzie ten „człowiek“, ujmie mocną dłonią ster i całą nawą narodową pokieruje ku wyzwoleniu. W każdym razie nie wynijdzie on z histerycznego rozgwaru wielkowiejskiego, jak nie wyszedł z tamąd ani razu dotąd.

Sięgając do osobistych wspomnień i cofając się wstecz od chwili, decydującej o naszej przyszłości, do poszczególnych epizodów z ciernistego naszego żywota, przypominam, jak przed 11 laty skromniutki, nieznany człowieczek uratował sytuację, zabagnioną doszczętnie przez samojedzwo partji i partyjek. Szło bądź co bądź o rzecz ważną, o los Szkoły Polskiej.

W dniu 27 Stycznia 1905 roku strejk szkolny spadł tak nagle i niespodziewanie, jak naprzykład wybuch wojny obecnej.

Wszystkie partje i organizacje, nie wyłączając Ligi Narodowej, były zaskoczone i oszołomione tym wybuchem.

Chłopcy rozerwali książki moskiewskie, tu i owdzie poniszczyli portrety carskie, wszędzie porzucili gmachy rządowe, i bojkot szkoły rosyjskiej gotowy! Gdy rodzice, nieprzygotowani psychicznie do takiego odruchu swych dzieci, załamywali ręce rozpacznie nad złamanem ich życiem i karierą, partje uchwyciły się za te same zacne dzieci, by je pociągnąć każda w swoją stronę.

Tak zwane podówczas „skrajne“ partje zorjentowały się, że te dzielne chłopaki mogą być doskonałym materiałem do formujących się bojówek, więc strejk żarliwie popierały, rzecz preta, że nie dla bojkotowania szkoły rosyjskiej, lecz dla pożytku swych bojówek.

Liga zaś Narodowa, zmiarkowawszy o co chodzi skrajnym partjom, usiłowała zapędzić młodzież do szkoły rosyjskiej nie dla pożytku bojkotu tej znieawidzonej szkoły, lecz jedynie na szkodę sklepikom z przeciwnika.

W ten sposób główny cel porywu młodzieży — bojkot szkoły rosyjskiej — utonął w tym rozgardjaszu partyjnym, zupełnie tak samo, jak dziś topi się sprawa Legionów w zakulisowych machinacjach sklepikarsko-partyjnych, których grzeszne pobudki należy oceni dopiero historia.

Przez trzy tygodnie trwało to piekło partyjnego użerania się wkoło sprawy jasnej, a jednak zaciemnionej sztucznym dorabianiem zasad do partyjnych potrzeb chwili. Więc dnie i noce trwały tasiemcowe rozprawy o „szkole wolnej“, to jest „bezwyznaniowej“, o równouprawnieniu żargonu, o udziale uczniów w radach pedagogicznych.

Słuszność każe przyznać, że na jasną drogę bojkotu szkoły rosyjskiej i obrony polskiej szkoły weszła pierwsza Liga Narodowa, dzięki niezapomnianej s. p. Marji Dzierżanowskiej i Kazimierzowi Janikowskiemu, którzy z polecenia Ligi utworzyli „Związek Unarodowienia Szkół“.

Mimo to sytuacja coraz bardziej się zabagniała, położenie zdawało się bez wyjścia, bo nad sejmikującymi partjami i nad szkołą polską wisiał przecież obuch moskiewski, cierpliwie czekając, kiedy sprawa cała spali się we własnym ogniu i dzieci pokornie wrócą do szkół rządowych.

W najkrytyczniejszym momencie rozchodzi się wieść, że przybył jakiś szlachcic z Podlasia i urządza „Wiec rodziców“ za pozwoleniem władz. Powszechne przerażenie. Bo co to jest „Wiec rodziców“? To niechybna ich uchwała o zapędzeniu dzieci do szkoły moskiewskiej. O intencjach szlachcica najwymowniej mówiła legalizacja podobnego wiecu, pierwszego od pół wieku.

Szlachcica podobnego nazwiska znałem kiedyś. Idę do niego. Tak, znajomy. Typowy szarak podlaski. Mówi nie uczenie nie rozumie, jaka to ma być szkoła „wolna“, a gdy posłyszał o żargonie, poprostu orzekł, że Warszawie w mógach się przewróciło.

Natomiast ten szarak doskonale rozumiał, co to jest szkoła polska, a czem jest szkoła moskiewska. Postanowił: szkołę polską zbudować, a rosyjską usunąć.

„Długo czekaliśmy, powiada, dyrektury z Warszawy, a jej jak niema, tak niema. Przyjechałem porządek tu zrobić“.

„Bójcie się Boga, Stachu“, mówię. „toż rodzice uchwały posłanie dzieci do szkoły rosyjskiej“.

„Nie może być! Jakżeby rodzice dziecko własne na zgubę dobrowolnie skazywali. A szkoła moskiewska to zguba dla duszy. Sam ośmiu synów mam. Wiem co to jest“. I gadaj z takim.

Zaproszono szlachcica na zebranie międzypartyjne przedwecowe. Naklął się poczciewicz po cichu co niemiara, i uciekł, stanowczo orzekłszy, że to „kupa warjatów, co Boga w sercu nie ma“.

Zupełnie nie współczesny typ. Miał w sercu Boga i olbrzymią wiarę w ogół polski.

My szliśmy na ów wiec z trwogą o los bojkotu szkoły rosyjskiej, a ten prosty szlachcic szedł z swą wiarą w duszę polską, że ona zawodu nie robi. I stało się podług wiary jego. Szarak ów na estradzie muzealnej sali wyrósł w postać jakiegoś hetmana, nakazującego posłuch dla swej woli. Odrazu zapanaował nad zbiorowiskiem polskich dusz jedynym orężem: dobrą wiarą i prostym hasłem.

Ujął on ster nawet nad rozjedzonym partyjnictwem, które go wokoło otoczyło. Prosty, nieuczony językiem wyłożył, dlaczego w Polsce ma być szkoła polska, przy pomocy ś. p. Peplowskiego naurągał wszechwładnemu kuratorowi Szwarzowi za katusze dzieci w szkołach moskiewskich, przeprowadził przez jednomyślną aklamację zebranych rodziców uchwały o bezwzględny bojkocie szkoły rosyjskiej i gdy różne chrzczone i niechrzczone półgłówki chcieli wygłaszać mowy, zagnął zamknął wiec staropolskiem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“.

Trzeba było wówczas widzieć miny tych skamieniałych ze zdumienia rozwichrzonych, gdy ot taki prosty szlachciura imieniem Boskim kazał im milczeć i basta. A od owego szarego szlachciury naprawdę zalaływało coś od Piasta...

Nieproszony przybył, w rozgadanej Warszawie jednym zamachem porządek zrobił, unurzana w bagnie najświętszą sprawę z bagna wyciągnął, wszystko w jedno łożysko pchnął i pojechał na swój zagon z powrotem, zupełnie nie pretendując do buławy dyktatorskiej.

Szarak ów zwie się: Stanisław Lewicki z Ławek w Łukowskiem. Z jego nazwiskiem związane jest zwycięstwo sprawy szkoły polskiej. Sprawa ta, zdawało się, zupełnie przegrana, jego mocną a nieproszoną garścią na relsy postawiona, skupiła wokoło siebie na całe dziesięć lat wszystkich szczerych Polaków. I chociaż odzywały się pojedyncze poszczekiwanie o marnowaniu młodzieży, chociaż spotkała się ona z renegacją edenckiego karierowiczostwa, pokonała wszystkie trudności wewnętrzne, przetrwała nacisk terroryzmu moskiewskiego, aż zwycięsko dotrwała do wiekopomnego dnia 5 Sierpnia, kiedy moskwicyzm raz na zawsze przestał zagrażać polskości szkoły naszej.

Wszystko to Polska zawdzięcza teżyźnie duchowej jednego szaraka, który nieproszony, niepytany, nie dopuścił, by ta sprawa życiodajna zgnoiła się w rozgardjaszu partyjnictwa zawodowego.

Jeszcze raz podkreślam, że to jest epizod drobny na tle rozgrywających się wypadków epokowej doniosłości. Niemniej ten drobny dokument, z życia wygarnięty, dodaje otuchy duszom, co chcą wiarą żyć.

Nil desperandum! Wyczekiwany „człowiek“ się znajdzie i dorastać będzie do ogromu zadań, jakie podejmie.

A przytem... jeśli nawet ta polska ziemia, strątowana stopą moskiewską, już tak wyjałowiała, że Kościuszków i Trauguttów rodzić przestała, to i tak... nil desperandum.

Toć dla Polski nastają lata szczęśliwości. Przyjdzie Król! On rozkaz da, a otrzyma posłuch powszechny i ukochanie.

Tak długo wyczekiwany, przez stulecie u Boga modlony... nasz własny, nasz Polski Król!

Więc w górę serca!

Najdotkliwsza klęska,

Wszechstronne zaniedbanie ludu naszego, nizki jego poziom społeczny bezspornie musimy uznać za najcięższą ze wszystkich klęsk, jakie w mnogości olbrzymiej uchodząca Moskwa w spadku nam po swej gospodarce zostawiła. Cała ta gospodarka iniała na celu oparcie na ciemnocie ludu panowania Rosji nad Polską. Stąd w pierwszym rzędzie szło odgradzanie chiń-

skim murem inteligencji od chłopów i to tak systematycznie, że do seminarjów nauczycielskich przyjmowano wyłącznie synów chłopskich, by przedstawiciele warstwy inteligentnej na stanowiskach nauczycielskich nie zarażali dusz ludu polskim patriotyzmem.

Zetknięcie się księdza z chłopem z konieczności Moskwa musiała tolerować, ale też ksiądz był otoczony tak straszonym policyjnym szpiegostwem, że nie zamienił by z kapłanem swej swobody ruchów nawet złodziej pobytowy. Sztuczne utrzymywanie analfabetyzmu, zatamowanie wszystkich źródeł oświaty musiały wyrazić się w zdziwieniu szerokich mas.

A jednak zdrowy chłop polski nie dał się pożyć barbarji moskiewskiej i przeważnie własnym wysiłkiem, a przy odrobini pomocy ze strony inteligencji wybija się na wierzch życia. Historia tego wybijania się chłopów z pod nacisku moskwicyzmu to najwymowniejszy dokument żywotności i teżyzny polskiej, która potrafiła pokonać wprost nadludzkie trudności w oporze przeciw nawałce moskiewskiej. Nie dziś czas pisać tę historję, wystarczy zważyć, że wszystko, poczynając od elementarza, a kończąc na krakowskich drukach dochodziło do rąk chłopskich podziemnymi drogami, by ocenić ogrom pracy, dokonanej ku ocaleniu naszego życia przed zalewem moskiewskim. Zbawienne wyniki tej pracy nieraz już wprawiały w zdumienie ogół filisterskiej inteligencji, przeważnie nieświadomej, co się robi w nizinach, a przerażały i oszołomiały Moskali, którzy więcej zdawali sobie sprawę z faktu odradzania się ludu, w bacznie śledzili za tym, by żaden światlejszy promień nie dostał się do głów chłopskich i żadne drgnienie żywego uczucia nie poruszyło jego serc.

Przypominam sucho, niejako protokularnie wydatniejsze fakty. Tajne Towarzystwo Oświaty Narodowej w ciągu 5 lat swej działalności zgromadziło w swych szeregach dwadzieścia kilka tysięcy uroczyście zaprzysiężonych chłopów. To chłopskie sprzysiężenie rozwijało się tak szybko, że stojąca na jego czele Liga Narodowa musiała w końcu zahamować ten rozped ze względów ostrożnościowych. Towarzystwo Opieki nad Unitami liczyło przeszło 15.000 Podlasiaków i Chełmszczan zaprzysiężonych. Kierowniczą ręką w tych dużych a jednak bardzo sprawnych ciałach podziemnych był przeważnie inteligent: gdzieś gdzieś ksiądz, ówdzie jakiś aptekarz, dziej znów jeometra lub dzierżawca, zrzadka lekarz, steczkowy, jeszcze rzadziej jakiś adwokat, coraz częściej nauczyciel ludowy, lub jakiś student, wygnany ze szkół za jakies tam rozruchy. Głównym jednak trybem w tej machinie był chłop, prosty chłop, który świeżo czytać się nauczył, a w pisaniu nie był wprawny. Ciężar transportowania druków z Krakowa spadł w końcu prawie wyłącznie na barki chłopskie. I w współpracy tej chłop wykazał tyle charakteru, hartu i prze-myślności, że sfery kierownicze z Zarządu Głównego mogły z całym spokojem traktować wypadkowe areszty wśród chłopów, gdy przeciwnie każdy areszt inteligenta wywoływał niepokój. To jakiś adres u niego znaleziono, to jakąś niepotrzebną kartkę, to w zdenerwowaniu więziennym mógł się wygadać. A chłop jak kawał kamienia. Nic z niego Moskal nie wycisnął. Miał na wszystko jedną odpowiedź: „nic nie wiem, ja tam nieuczony“. Choć niejednego parę lat zbiry carskie w turmach gnoili, a po Sybirze włóczyli latami. Dziesiątki tysięcy było ich w kadrach organizacyjnych, a stwierdzam najkategoryczniej, że nie było ani jednego faktu zdrady, lub bodaj nieostrożności lekkomyślnej.

Na takim to chłopie, odrobina pracy inteligenckiej uobywatelnionym, oparł się potężny ruch narodowy z przed 10 lat.

Wszyscy mają, a przynajmniej powinni mieć w żywej pamięci ten ruch, który, jak pożar w stepie, ogarnął cały kraj na hasło rzucone z Warszawy, te jednomyślne uchwały chłopskie o wyrzucenie moskiewskości z gminy, szkoły, sądu. A potem te wybory do pierwszej dумы, w których chłopci jednomyślnie wybrali wyłącznie tych, jak sądzili, „szczerych Polaków“, którzy im zapewniali, że z Petersburga przywiozą autonomję, tłumacząc po cichu, że ta autonomja to prawie to samo, co Niepodległość Polski. A któż nie pamięta, że i wówczas uwijały się między ludem chmary agentów i prowokatorów moskiewskich, którzy chłopów straszili „rządami pańskimi“, a ten chłop święcie powtarzał: autonomja i tyła. Grasowały też wśród ludu w ten smutny czas bandy różnych drapichrustów, którzy w nim apetyt na pańską ziemię rozwijali.

A chłop na tę szelmowską agitację miał jedną odpowiedź: „Ot, jaki dobrodziej, jak to on cudze rozdaje“. I ten poważny, stateczny chłop ani drgnął w kierunku tej lub owej zbrodni na-

rodowej. A ten imponujący listopadowy wiec chłopski w Filharmonii, na który przemądrzała, filesterska Warszawa oczy zdumione otworzyła. Et, co tu mówić więcej, gdy istotna prawda stoi murem po za nami, a od słuchania różnych bzdórstw, rozpowiadanych o chłopie, flaki w człowieku się przewracają.

Toć taki mędrzec, jak Świętochowski, całą swoją zaciekłość w orientacji koalicyjnej niby na usposobieniach ludu opierał, on, który w wrażeniach od żywego życia ani razu się nie skapał, a w świątyni dumań swego zacisznego gabinetu chłopca tylko na obrazku widział.

Najbardziej utartą opinią jest, że chłop to wielki materialista. Zapytuję, czy opiniujący wiedzą o tem, iż książka, wzbudzająca największy entuzjazm wśród ludu, jest Trylogia Sienkiewicza.

I w tą opinię mogą wierzyć ja, który wiem, ile to tysięcy Wielgutów, Byczków, Piwków, Zadków, Wicików, Wójcików, Molendów, Spychalskich, Kiszaków walczy w Legionach Polskich?!

Zważcie szanowni sędziowie: to nie jednooki, a liczne tysiące chłopskie z karabinem w rękę zastaniają Polskę przed nawałą hord i krwią zdobywają sobie prawo do nowych indogenatów szlacheckich, gdy już stare, tak rozpaczliwie wyblakły po ostatnim powstaniu. Wiem, że inteligencja nasza, przez pół wieku odgradzona żandarmem od ludu, miała dokładniejsze wiadomości o zulusach, niż o chłopie polskim. To jedno jednak wiedzieć by powinna, że wśród ludu jest wprost żywiołowe pragnienie do oświaty. Jaskrawo zademonstrowało się to w rocznym okresie istnienia Macierzy Szkolnej, która jednym zamachem zgromadziła w swoich szkołach 100.000 dzieci, wygnanych na ulicę po jej zawieszeniu.

Moskwa spostrzegła ten żywiołowy pęd do nauki i postanowiła wykorzystać go jako rusefikacyjną pułapkę w przymusie szkolnym.

W tę pułapkę pierwsza wpadła i pomagała Moskwie niemal cała inteligencja polska, od Grabskich poczynając, od całej, rzecz prosta, wytrzeźwionej z wszelkich mrzonek endecji, po przez cały postęp, aż do niektórych moich politycznych przyjaciół, których tu nie wymieniam, choć im właśnie, jako nieprzejechanym wrogom Rosji, najsilniejsze przypiekanie rozpalonym żelazem by się należało za to, że sekundowali szatańskiemu sam człowiekowi Moskwy pochwyteniu całego życia ludu w klejnotnym antyskakapów-nauczycieli.

Wpadł się chłop, jedynie instynktem samozachowawczym kierowany.

Moskwa dawała za darmo gmachy szkolne, dawała utrzymanie nauczycieli, chodziło o bagtelkę, o uchwałę gminną co do przeprowadzenia przymusowej sieci szkolnej.

Zaiste, szatański był plan Moskwy, bo utrafił w ogólny pęd do nauki, a zaspakajał go darmo. Jednak wystarczyło paru ostrzegawczych odezów „Polski“, kilku przejrzytych artykułów w cenzuralnym „Ludzie Polskim“, by chłop prawie w całym Królestwie orzekł, że ten darmowy przymus szkolny to „moskiewska podrywka“. Orzekłszy to, chłop nie uległ szalonnemu naciskowi wszystkich naczelników, do uchwał o przymusie szkolnym nie dopuścił, a przeciwnie uchwalił: „niech nam władze pozwalają zakładać szkoły, to sami sobie założymy polskie szkoły za własne pieniądze.“

I znowuż w materializm, ba, nawet w moskalofilstwo chłopca mam uwierzyć ja, który parę lat temu zwycięsko przeprowadziłem całą kampanję przeciwko moskiewskiemu przymusowi szkolnemu, forsowanemu przez nacisk całego aparatu rządowego i życzliwe gorące poparcie niemal całej inteligencji.

Nie. Wierutne to bajki, których fałszywość jaskrawo wykazał zjazd gubernatorów i dyrektorów okręgowych pod prezydencją kuratora w listopadzie 1913 roku. Doszedł on do wniosku, że powszechny opór chłopstwa przeciwko szkole rządowej jest bezpośrednim skutkiem „intrygi polskiej“. Nie zmaterjalizowana zaś inteligencja ten opór tłumaczyła sobie niekulturalnością ludu: „za darmo dają, a oni nie biorą“. Tak to z chłopem było prawie w przeddzień wybuchu wojny.

I notabene tak było po 10-letniej dewastacyjnej gospodarce tejże szanownej inteligencji wśród mas ludowych, kiedy demokracja narodowa, ideowo załamawszy się, usiłowała także i chłopca zwekslować za sobą od Niepodległości do państwowości rosyjskiej.

Bolesne to lata! Najlepsi z chłopstwa stanęli oszołomieni, nie wiedząc, komu wierzyć, i trzeba było olbrzymich wysił-

ków, by ich na drodze dawnej wiary utrzymać. A wszyscy wyteżali się, by ich z tej drogi ideowej zepchnąć do... zajęcia się rublem, li tylko rublem.

Endecja, zaniepokojona romantyczno-pawstańczym nastrojem chłopstwa, tyle razy i tak dobitnie ujawnionym, usiłowała uwagę jego od znieawidzonej Moskwy odwrócić na wszystko: na rubla, na żyda, na Niemca, byle jeno chłop o „nieziszczalnych mrzonkach“ zapomniał. Z mniejszym skutkiem, choć równie intensywnie, pracował cały nieszczęsny Postęp warszawski, odciągając uwagę chłopca od walki z pętlą moskiewską i zwracając jego oczy na księżą gospodynię, jako na największe zło naszego życia.

A jednak ten chłop nie dał się ani Moskwie, ani jej mimowolnym, bo ślepy, sprzymierzeńcom wśród nas.

Uratował go zdrowy instynkt narodowy.

W ocenie chłopstwa prawdą jest, że w swej szerokiej masie jest ono ciemne. Jeśliby jednak ciemnotę mierzyć tylko bezkrytyczną łatwawiernością, to chłop nie o wiele wydalby się ciemniejszym od przeciętnego inteligenta, z zapalem powtarzającego za wszystkimi dawnymi Dwukopiejkówkami, że Francja i Anglja przyniosą nam Niepodległą Polskę na półmisku. Bajdy kursujące wśród ludu i wśród inteligencji są wzajemnie sobie warte.

Niewątpliwą też prawdą jest, że lud uległ masowej demoralizacji, którą go zaraziło bliższe zetknięcie się z żołdactwem moskiewskiem, z powszechnym jego rabunkiem i złodziejstwem. Codzienny widok złodziejstwa, praktykowanego jawnie, bezczelnie, chociażby przy budowie okopów przez Moskali, musiał rzucić rdzę znieprawienia na dusze chłopskie.

Ohyda powszechnej spekulacji musiała również przeciętnego chłopca zarazić gorączką zdzierstwa.

Wszystko to ja widzę, ale też jasno widzę i to, że z katalizmu wojennego chłop wyjdzie zdrowszym, niż jego sędziowie, i prędzej od nich dojdzie do równowagi duchowej.

Mam na to namacalnych dowodów bez liku. Różne też bajdy są opowiadane o tak zwanej orientacji chłopskiej. Bezspornie jest on rozgoryczony dokuczliwościami wojennymi. W niektórych okolicach rozgoryczenie to przechodzi w niepokojące rozdrażnienie. Potrzeba atoli jednego dobrego słowa, aby wstrzymać wybuch irytacji, a nawet wywołać w nim objawy rzetelnej ofiarności. Jeno to słowo szczere musi zahaczyć się o coś, czego istnieniu nasz przeciętny inteligent nie przypuszcza w duszy chłopskiej.

Z wielu przykładów przytoczę tu bodaj jeden. W pierwszych dniach Lipca dragoni niemieccy wyruszyli z Łukowskiego powiatu na front. Do gminy Celiny przybywa wachmistrz z kilku żołnierzami na rekwizycje 57-iu świń. Gromada odmawia, twierdząc, że już dali dużo i więcej nie mają. A na to wachmistrz: „Jak nie macie, to nie dawajcie, jeno pamiętajcie, że jedziemy na front bić się, aby do Polski Moskali nie wpuścić, jeśli słabo najemy się, słabo będziemy bić i Moskal do was się przedrze“.

Chłopy zastanowili się, powrotu Moskwy ulękli się i świnie dali, a nawet dobrowolnie bez nalegania wachmistrza, odwieźli je do kolei.

Naocznym świadkiem tego był mecenas Wacław Szymański, wizytator Rady Głównej Opiekuńczej. Nie tendencyjny to świadek, bo przy całej swej szanowności, jako inteligent warszawski, mógł on mieć mylną opinię o chłopie.

Słowem, wierzę, że chłop polski, pomimo swej ciemnoty i zdziczenia w ohydnych warunkach niewoli, jest znakomitą materjałem państwowo-twórczym i przy odrobinie rzetelnej pracy nad nim, zdolny jest wznieść się na najwyższe szczyty poświęcenia i ofiarności dla Ojczyzny.

Ten wniosek z długoletniej praktyki życiowej składam w hołdzie pamięci Tych, których męczeńskie święto dziś czcimy, a którzy z hasłem „Za Wolność i Lud“ szli pod kule i na szubienice.

Tak! Jeno temu ludowi dzielnego króla dać i do zorganizowanej we własnym państwie pracy zaprzędz, a zadziwi on świat swą tężyzną, swą karnością, swą prawością i, nie zawaham się powiedzieć, swym geniuszem twórczym.

Aleksander Zawadzki.

Redakcje: „Niepodległości“ i „Ludu Polskiego“ — Ordynacka 8.